



Amerykańska powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył J. R.

3

(Ciąg dalszy).

Sierżant schylił się, podniósł go, zbadał starannie resztki wielkiego zamku i wyciągnął z nich kilka przepalonych nici, których barwa utwierdziła go w przypuszczeniu, że pochodzą one z tej właśnie koszuli, której resztki znalazł poprzednio na ziemi. Zwrócił się więc do przełożonego, pokazał mu co znalazł i rozśmiał się.

Kapitan, śmiejąc się również, potrząsnął głową.

— Wiem, co pan myśli — rzekł — robota nie jest panu nieznaną.

— „Rozbicie kasy cicho i bez szelestu“ — szepnął detektyw. — Znam tylko jednego, który to zrobić potrafi i głowę moją daje w zakład, że to on: oddział 3, strona 241, numer 1. Czy mam go panu bliżej określić? Album B, rycina 1674. *Well?*

Przez chwilę patrzył kapitan zamyślony w ziemię, potem podniósł zdumiony wzrok w górę.

— Na świętego Jana — rzekł — Cool, masz pan rację. To rozbijacz kas Bill Crooke. Patrz pan, od dwóch miesięcy jest wolny i jeszcze nie dał słyszeć o sobie. Haha! Mister Vanderhook może się pocieszyć — swoich milionów już widzieć nie będzie. Wyjdź pan teraz na pole i zbadaj tam wszystko; może się znajdzie jakiś ślad, jeżeli tu jeszcze potrzeba śladów.

Spiesznym krokiem oddalił się detektyw, podczas gdy kapitan zwrócił się znowu do stojącego bezradnie szefa firmy, jego powiernika i do biednego Murphy, który z widocznym zadowoleniem łykał ciepłe wino ze stojącego przed nim pokazanych rozmiarów dzbanka.

— No, panowie, a i wy, Murphy, posłuchajcie mnie chwileczkę — rzekł uprzejmie — my badania nasze tak, jakbyśmy już ukończyli. Ślad złodzieja już znaleziony, chodzi tylko o wyjaśnienie kilku, dotąd jeszcze ciemnych, punktów. O ile mnie się zdaje, to złodzieje mieli w jednym z urzędników bankowych wspólnika i pomocnika, który im ułatwiał robotę przez długie i skrupulatne przygotowania. Czy pan ma jakie podejrzenie, choćby nawet bardzo słabe, przeciw jakiegokolwiek z pańskich urzędników, mister Vanderhook?

Stary pan patrzył przez chwilę ze smutkiem na podłogę, potem otrząsnął się nagle, jakgdyby go ciarki przeszły i zrobił ręką ruch zaprzeczający.

— Nie, sir, nie mam najmniejszego podejrzenia.

— A pan, mister Zygmunt?

Mister Zygmunt, milcząc, ruchem głowy zaprzeczał, ale i jego twarz wyrażała nieokreśloną jakąś trwogę.

— A zatem — ciągnął urzędnik dalej — powiedzcie mi panowie, ale krótko i węzłowato, czy

oprócz tego człowieka, oprócz Boba Murphy, pełnił kiedykolwiek straż nocną kto inny?

Zdumiony spojrzał nań szef, jakoteż mister Zygmunt; zanim jeden z nich zdążył na to pytanie odpowiedzieć, ozwał się Murphy w najwyższym zdumieniu:

— Na świętego Grzegorza, policja musi o wszystkim wiedzieć. Rzeczywiście ja chorowałem przez dwa tygodnie i podczas tego inni — hm, to znaczy ja nie mogłem pełnić straży.

— Tak. A wiecie może także, kto was zastępował?

— Nie, tego mi nie powiedziano. W interesie, haha, tam szeptano coś o piekielnie dostojnych gościach, czem mógłbym się snadnie chępić, ale to był nonsens.

— Niby co? Mówcie jasno. O czym szeptano?

— No więc, tylko niech mi pan tego nie weźmie za złe, mister Zygmunt — rzekł stróż, korząc się najpoddaniej — mówiono, że pan sam i młody mister Vanderhook podczas mojej choroby pełnili moją służbę. Ale, zdaje mi się, że to jeno humbug i moi koledzy chcieli mnie wziąć na kawał.

Urzędnik otworzył szeroko oczy. Zdawało się, że przez głowę przebiegła mu nowa myśl. W tej chwili jednak odwrócił się, jakgdyby chciał ukryć twarz przed obecnymi i zaczął coś notować. Kiedy się znowu zwrócił ku nim, twarz jego miała wyraz uprzejmy i do pewnego stopnia obojętny.

— No, panowie, czy tak było w istocie? — zapytał, śmiejąc się.

— Ten człowiek mówi prawdę — odparł mister Vanderhook. — Kiedy on zachorował, nie byłem zdecydowany, komu powierzyć tę ważną funkcję, aby go zastępował. Moi urzędnicy, z łatwo zrozumiałych powodów, byliby się nie zgodzili pełnić tę, w ich mniemaniu, niższą służbę, a zatrudnionych u mnie podurzędników, używanych zwykle do posług, oraz innych młodych ludzi nie znałem na tyle, abym mógł z pośród nich wybierać. Wtedy mój powiernik — chciałem to zatrzymać w tajemnicy — wybawił mnie z kłopotu i zdecydował się spędzać tutaj noc, a luzował go mój syn, mister Miles Vanderhook. Wprawdzie nie w ten sposób, jak to podał Murphy, ale w następujący: mister Zygmunt czuwał przez pierwszy tydzień, mój syn przez drugi.

— Dziękuję panu. Kiedyż Murphy powrócił do służby?

— Przed ośmiu dniami — odpowiedział mister Zygmunt, a Bob Murphy dodał równocześnie:

— To jest moja siódma noc.

— Jeszcze raz dziękuję. A teraz, mister Zygmunt, jeszcze jedno pytanie. Czy pan kiedy podczas czuwania nie zauważył kiedy jakiego szelestu, jakiegoś podejrzanego skrobienia po murze, lub coś podobnego?

Mister Zygmunt począł trzeć ręce, wzruszenie opanowywało go coraz bardziej, z trudem udawana obojętność opuszczała go.

— Nie, sir, najmniejszego szelestu — rzekł z zartem oddechem — zawsze było wszystko spokojnie. Czyż to możliwe, żeby dlatego, że ja i mister Miles odbywaliśmy tutaj straż, miało paść na nas podejrzenie?

— Trudno, to się nie da zmienić — odpowiedział nagle kapitan i zwrócił się szybko do stróża.

— Bob Murphy, uważajcie, zbliżamy się do końca. Zbierzcie wszystkie myśli i opiszcie mi dokładnie, jak wyglądali obaj złodzieje. Dalej!

— Opiszę ich, sir, i to tak dokładnie, jakbyście ich tu przed sobą widzieli — rzekł stróż. — Czegoś podobnego nie zapomina się tak łatwo, panowie. A więc — kiedym się zorientował, o co chodzi, jeden stał tu, na tym kamieniu posadzki, tuż obok wysokiej kasy i wiercił. To był ten mniejszy, drugi był nadzwyczaj wysoki —

— Wysoki, nadzwyczaj wysoki, powiadacie? — wyrwało się z ust szefa, który za przykładem swojego powiernika również stracił zimną krew.

— Tak, panie — skinął głową Murphy — ale to dopiero ten drugi. On pracował bez czapki i zauważyłem, że jest porządnie łysy...

— Na chwileczkę — przerwał w tym miejscu kapitan — ja będę mówił dalej. Był on około czterech do pięciu stóp wysoki, brodę miał gładką, na głowie niedużo włosów, głos jego miał dźwięk ostry, chodził trochę pochylony, a u lewej ręki brakowało mu małego palca — zgadza się?

Bob Murphy patrzył na urzędnika błyszczącymi oczyma. Na twarzy jego malowało się naprzemian zdziwienie i entuzjazm, ale trwało to bardzo krótko, bo w tej chwili zrobił skromną minę i rozdziawił usta.

— No, cóż się gapicie, tak czy nie?

— Tak jest — odrzekł zalekziony — pan, zdaje się, zna tego włamywacza?

— Znam go. Opiszcie drugiego!

— *Well*, twarzy ich...

— Nie mogliście widzieć, bo draby byli w maskach — to wiemy.

— No więc; drugi był chłop ogromnie wysoki, jak mnie się widzi, wyższy nad sześć stóp. Miał na sobie pewnego rodzaju kapiszon na głowie, ale kiedy się schylił, kapiszon spadł i zobaczyłem wtedy, że ma czarne jak węgiel włosy, chociaż w tej chwili wdział kapiszon napowrót. Na palcu miał pierścień z wielkim brylantem; spodnie miał w paski. O ile mnie pamięć nie myli, zdaje mi się, że miał brodę, długą brodę...

— Dobrze; to wszystko. Pijcie sobie teraz wino, więcej was już nie potrzebuję — rzekł urzędnik — Jednak pan, mister Vanderhook, powiedz mi pan, czy nie zna pan przypadkiem jakiej osoby, na którą pado pańskie...

Kapitan przerwał i zdumione oczy wlepił w szefa banku i jego powiernika. Starzec nie zdołał już dłużej panować nad swymi uczuciami, chwycił za rękę mister Zygmunta, głowę wsparł na jego piersi i łkał cicho.